NUMER 27. DNIA 3. LIPCA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

WŁADYSŁAW ORKAN.

O Wojtku, którego na Szczepana przekręcili.

Sam o tem, już jako Szczepan, tak ludziom dobrym opowiadał:

„Dwóch nas matusia mieli. Było tam jeszcze coś, jak powiadali, ale to sie nie doczekało chrztu świętego. Mnie było Wojtek na imie, a bratu starszemu Szczepan. Tatuś pomarli zawczasu, i my z matusią gazdowali. Szczepanowi przyszły roki, że musiał stajać do odbiórki, i za drugim razem z wiosną odebrali go do wojska. Miał już na jesień iść. Ale matusia nie chcieli, żeby on do wojska poszedł, bo im sie widział bardziej, niż ja, przy gospodarstwie potrzebny i kochali go bardziej, niż mnie, już od samego czasu. I jak wzięli chodzić do powiatu, do urzędów, do wójtów, do pisarzów — jak wzięli kręcić i kręcić, tak mnie na Szczepana przekręcili. I jako niby Szczepan musiałem do wojska przystać“.

Nie wiedzieć, jak mu tam przy tem wojsku było, bo na jego opowieściach trudno się opierać — dość, że trzy roki uczciwie wysłużył i do wsi po zwolnieniu ze służby powrócił.

Ale, jakby mu tam co złego zadali — już się chałupy nie trzymał. Jak gdyby go coś odbiło od domu... Marsze odbywał, krótsze albo dłuższe, zależnie od dnia i pogody, pasterzy, gdzie napotkał, zawzięcie „egzecyrował“, lecz najochotniej rad biegał po polach, nie bacząc zgoła na szkody, a gdy mu niektóry z gazdów zwracał uwagę, co robi, odpowiadał z ważną miną, stanąwszy „podług rozkazu“, iż „cesarskie manibry“ odprawia... I cóż rzec? — Kląć trza było, a tu nie wypadało, bo jakże... Co „cesarskie“, to cesarskie. Choć sie może widzieć głupie, to... któż może odgadnąć? Mogłaby z tego być jaka obraza. Lepiej sie zawdy mieć na postrożności.

Tak se dumając w rozumach, omijali go gazdowie i dużych piekieł nie robili, mimo tych szkód, jakie im się w oczach dziesiętniły; czasem ta jeno niektóry kijem go przegnał sękatym na przestrzeń swobodniejszą.

Jeden błąd jeszcze miał w rozumie, jakiego dawniej u niego ludzie nie widzieli: Noża się ogromnie strachał. O czem gdy się młodzież we wsi, jak zwykle lekkomyśląca, zwiedziała, już nie miał od niej spokoju. Wszędzie go tymi nożami, jak psy szczekaniem zająca, pędzono.

Widzą go — idzie poprzed sień.

— Józek, podaj-no tam noża!

Wchodzi za próg do izby — tu już nóż na pasku ostrzą. Nieraz nie zdołał „pochwalony“ rzucić, tak wartko w pole nawracał.

Najchętniej też trzymał się otwartego pola, gdzie mógł przed zasadzkami ujść łacwo — tak doznaku, jak zając płoszony. I najczęściej w tej wolności po szopach nocował, a latem to i pomiędzy żytami — bo gdzie jeno na nocleg do osiedli zaszedł, w te pędy odstrachali go tymi nożami. Nie mówi się już o siekierze. Siekierę gdy obaczył, to mało ze skóry nie wypadł — tak się jej widoku lękał. I wogóle wszelakie ostre żelaziwo, które on „bronią“ nazywał, tak go okrutnie strachało. Kto miał tę „broń“ przy sobie, to już nie był dlań człek ze wsi, już go nie poznawał nijak — był to w jego obraźni wróg jakiś, na życie jego nastający. I gdy go kto zestraszył, tak się przeodmieniał, że prawie nie tym był Szczepanem; jakby go co w tym strachu znów na innego przekręcało... Oczy mu się szerzyły, twarz bladła, a mowa mu się tak zmieniała, że niktoby go nie rozpoznał; nawet słów dobierał inszych, niż we zwyczajnej gwarze.

Straszony — dziczał pomału, dróg się już ludzkich nie trzymał, więcej polami chadzał, ulicami, któremi bydło goni się na paszę. Lecz i tu nie był doznaku bezpiecznym.

Zdarzyło się raz: Szedł ulicą krokiem żołnierskim, wymierzonym, aż tu słyszy przeraźliwe: „Stój!“ i widzi przed sobą rycerza (każdy chłop wyższego wzrostu rycerzem mu się wydawał), jak wyjmuje broń (kozik) z zapasa i zbliża się złowrogo ku niemu. Szczepan zmiertwiał z przestrachu, poczem zwyrtnął się nazad, i w ucieki. Ba — z tej strony jeszcze gorsze niebezpieczeństwo. Oto jedzie jakiś rycerz czterema siwcami (chłopina jakiś wiózł widać ścielę z przylasku byczętami), broń na ramieniu dźwiga (siekierę pewnie, jak z lasa) i wyraźnie niedobry zamiar ma w umyśle. Szczepan już nie wiedział, co ma robić, jak się z tej matni wydostać. Ulica owa była wąwozem głębokim i jeszcze płotem ogrodzona. A tu z dwóch stron nieprzyjaciel... Zastanowiwszy się mało — zwrócił się znowu ku pierwszemu. Ten, widząc trwogę Szczepana, podnosi głos straszny: „Tu musisz zginąć!“ i wywija „bronią“. Szczepan w niebezpieczeństwie ostatecznem zbywa się trwogi, pada na kolana i poczyna słowami miękczyć serce „wroga“:

— Wiesz ty... ja twojej ojczyzny bronił! Ja krew dla ciebie przelewał! O mało, żem w stu wojnach nie zginął... czy ty to pojmujesz?! Uderz w pierś moją — tu odsłaniał na piersiach koszulę — jeżeli masz serce... uderz! Tu tysiąc kul się odbiło... a te rany! — pokazał sińce na ramionach — patrz! Wiesz, dla kogo te rany? Dla ciebie — tak, szlachetny rycerzu, dla ciebie! i dla ojczyzny twojej! Masz ty serce?

W tem podobieństwie jeszcze długo mówił, aż chłop, od śmiechu zesłabiony, przepuścił go ulicą.

I nie jeden raz podobnie się zdarzało.

(Dok. nast.)

Najzimniejszy klimat na świecie 3)

NAPISAŁ

ADAM SZYMAŃSKI.

(Ciąg dalszy.)

Bezludność ziemi jakuckiej uwydatniają jaskrawo następujące cyfry:

W Galicji wypada na 1 kil. kw. około 100 mieszkańców; w Królestwie około 80; na Litwie i w środkowych gubernjach rosyjskich około 50 mieszkańców. W najsilniej zaś zaludnionym p. jakuckim 1 mieszkaniec przypada na 5·1 kil. kwadrat. w p. wilujskim 1 mieszk. przypada na 14 przeszło kil. kw., w p. olekmińskim 1 mieszk. przypada na 23 przeszło kil. kw., w p. wierchojańskim 1 mieszk. przypada na 56½ przeszło kil. kw., w pow. kołymskim 1 mieszk. przypada na 108 przeszło kil. kw.

To znaczy, że w całej Galicji wedle normy najgęściej zaludnionego p. jakuckiego zamiast 7½ mil. ludności byłoby tylko 15.600 m., a przy takiem zaludnieniu jak w pow. kołymskim byłoby w całej Galicji 722 ludzi. Taką jest bezludność pustyni jakuckiej — pustyni niezwykłej nawet, możemy mówić śmiało, gdyż pustynia Sahara jest przecież 2 razy silniej zaludniona, niż najbardziej zaludniony pow. jakucki, gdy bowiem w Saharze jeden mieszkaniec jest właścicielem 2½ kil. kw., w pow. jakuckim 1 mieszkaniec posiada 5·1 kilom.

Z tą niesłychaną bezludnością kraju harmonizują i wszystkie inne warunki życia ludzkiego.

Najbliższa stacja telegraficzna wówczas, gdy tam mieszkałem, odległą była od Jakucka 2400 kil. Tak zwane miasta, okrom Jakucka, posiadającego 3½ tys. mieszk. i czyniącego wrażenie oazy wśród tej pustyni, nie zasługują na tę nazwę, 2 z nich liczą po 300, a 2 mniej, niż po 200 mieszkańców.

W całym tym kraju ogromnym niema ani jednej drogi kołowej, wszystko przewozi się tu w zimie na saniach.

Latem jedynymi gościńcami są wielkie rzeki i wszelka inna komunikacja jest możebną tylko wierzchem, konno. Wskutek tego ogromna większość mieszkańców tego kraju nie ma najmniejszego pojęcia o tem, co to jest wóz.

Gdyby nie olbrzymia arterja wodna, którą przedstawia Lena, sięgająca swym górnym biegiem najbardziej zaludnionej części gub. irkuckiej i po której dowozi się do Jakucka wszystko, poczynając od mąki — życie dla europejczyka byłoby zupełnie niemożebnem. W całym tym olbrzymim kraju niema ani jednej studni. Są tu całe wielkie kraje, w których ludzie zupełnie nie używają soli; są i takie, w których chleba nigdy nie jadają. Są wielkie przestrzenie, w których ludzie rodzą się i umierają, nie ujrzawszy nigdy w życiu rosnącego drzewa żywego. W takich to warunkach, najogólniej tylko zarysowanych, człowiek stawić tu musi czoło najsurowszej zimie na świecie...

Zwykle już w pierwszej połowie września, zjawia się pierwszy mały mróz i, jak gdyby zwiastując tylko przybycie groźnej siły, znika na jeden lub kilka dni. Wkrótce zjawia się powtórnie niemiły gość i już osiedla się na długo.

W końcu września już się ustalają trwałe 5—6^0 stopniowe mrozy. Wszystko, co żyje, na gwałt szykuje się do walki z nadchodzącym wrogiem. Około 10-go października już są mrozy 10-stopniowe, a przed końcem października już mróz dochodzi do 15—20^0 R. i bardzo rzadko bywa słabszym. Gdy się już ustalą mrozy 20-stopniowe, zaczyna się obrzucanie, a właściwie obmazywanie jurt i domów uboższych śniegiem.

W tym celu do naczynia, napełnionego dobrze wymarzłym, suchym śniegiem, wlewa się odpowiednią ilość wrzątku. Po szybkiem wymieszaniu, otrzymuje się elastyczny na mrozie, bardzo lipki materjał, który wniesiony do mieszkania prawie natychmiast się roztopi, wystawiony zaś na działanie mrozu z jeszcze większą szybkością zastyga, kamienieje.

Tym to śniegiem obrzuca się cały dom, starannie obmazuje węgły i szpary i dom okrywa się jakąś czarodziejską powłoką, iskrzącą się na słońcu cudowną grą kolorów i świateł. Zwykle wkrótce po 20-tym października zjawia się już mróz prawdziwie jakucki. Tak w przedostatnim roku mego tam pobytu, 1882-im, dnia 24. października już mieliśmy 31^0 R. tj. prawie 40^0 C. Przy tej temperaturze już zamarzła Lena. Wówczas to zaczyna się wycinanie i zwożenie tafli lodowych grubości 1-ej do 1$^1/_2$ piędzi, tafli, które składają się na ulicach i podwórzach około okien, aż do większych mrozów. Długo już na nie czekać nie wypadnie. Tak po owym mrozie 24. października w ciągu następnych 6 dni mieliśmy taką t^0, 21^0, 20^0, 24^0, 27^0, — 1-go listopada 32^0, wieczorem zaś 34^0, a 2-go listopada 36^0 R. Przy tej t^0 zwiezione tafle lodowe już się przystawiają do okien i umocowane z początku z pomocą podpórek i podstawek, zapomocą cementu śnieżnego, twardniejącego na mrozie z niezwykłą szybkością, przytwierdzają się na stałe. Już bowiem teraz mróz wciąż będzie tak silnym, że ciepło z wewnątrz domów nie zdoła ani zepsuć samych tafli, ani uszkodzić spojenia. Oryginalne te okna stać już będą do końca marca.

W ciągu następnych 12 dni już tylko 2 razy rankami mróz zelżał do 26 i 29^0, ale to zelżenie już tu nikogo nie łudzi.

14. listopada termometr spadł do 42^0 R, t. j. 52^0 C. I znowu w ciągu 4 dni następnych mróz, jak gdyby trochę słabnie, mieliśmy więc znowu — 37^0, 33$^1/_2$^{0}, 34^0, 33^0, aby się jednak zbyt nie łudzić 19. listopada otrzymaliśmy 39^0 i po trzydniowej lekkiej zniżce do 36^0, — 32^0, — 34^0, — 23. listopada mróz wznosi się odrazu do 44^0 R. t. j. 55^0 C. Tak to w ciągu miesiąca mróz, niby to pozornie słabnąc, wzniósł się z 31^0 do 44^0 R.

I te straszne uderzenia mrozu, dochodzącego do takiej ogromnej siły i te pozorne ulgi, po których zwykle następuje mróz silniejszy od ostatniego największego, sprawiają tam wrażenie skoków jakiegoś bajecznego potwora, usiłującego temi uderzeniami zabić wszystko żyjące na ziemi. Po pierwszem uderzeniu 24. października, dochodzącem do 31^0, jakby nie zupełnie udatnem, potwór cofa się i oszołomiwszy wszystko 14. listopada mrozem 42^0 — 23-go listopada wzmaga się do 44^0. Nic mu już nie stawi oporu — mróz tryumfuje, dochodząc 24-go listopada do 45$^1/_2$^{0} i w ciągu następnych 4 dni prawdziwie znęca się nad ziemią, dochodząc do 49^0, 51^0, 51$^1/_2$^{0} R. t. j. 61$^1/_2$^{0} C.

Przedstawiłem obraz zimy w miesiącu, który jeszcze właściwie nie jest zimowym. Zestawienie tych mrozów z temperaturą choćby zeszłorocznego zimnego tu listopada (średnio — 2^0 C.) dostatecznie uwydatnia, że nazwa „biegun zimna“ nie jest tu czczą nazwą i ten szczegółowy wykaz mrozów z tego nie zimowego miesiąca przekonywa, ile strasznej prawdy mieści się w tej nazwie. Bardzo trudno opisać całą wielką grozę tych mrozów.

(C. d. n.)

Z chat.

I.

Narada.

Oznaczono naradę właśnie o tej porze,
kiedy wieś spracowana do snu się układa,
kiedy światło miesięczne w niziny zapada
i strzałami jasnemi przejrzystość mgieł orze.

Zebrała się w cichości pastusza gromada
na łące, co się, kwietna, przegląda w jeziorze,
a czy radzą o pieśniach, zaklętych w wierzb korze,
czy o skarbach ukrytych, o czarach, — któż zbada?

Cicho szepczą... Li czasem gromkie słowo padnie:
„Ej, wara!“ „My nie tacy!“ „Nie damy się, basta!“
— i znów szepty wsiąkają w mgłę białą bez echa.

Jezioro śpi po wierzchu, źródła biją na dnie...
Wierzba, u pnia spróchniała, w gałązki porasta...
Zielenieje ruń młoda w starej ziemi Lecha...

II.

Wesele.

W chacie ciżba, gorąco, z twarzy pot się leje;
młodzi pośrodku stołu zasiedli w skupieniu,
grzmi muzyka, moc gości, tańczą na podsieniu,
od natłoku aż trzeszczą niskich drzwi wierzeje.

Piją raźnie, swat swata klepie po ramieniu:
„W wasze ręce!“ — „Na zdrowie!“ — „Niech się dobrze dzieje!“
Dziewczę się do tancerza zapłonione śmieje,
ochota, radość tryska w głośnem uczty brzmieniu.

Bas huczy, skrzypek cieniej i smętniej wywodzi,
wstęgi furczą, w powietrzu by tęcze migają,
oknem powiew jesienny żary izby chłodzi.

Młódź grajków otoczyła rozbawioną zgrają:
„Hej, skocznego! Niech żyją zdrowi państwo młodzi!“ —
Po kątach siwe głowy o przyszłości rają...

III.

Powrót.

Wzięli go dziarskim, pięknym jako malowanie;
we wsi wszędy był pierwszym: do pola, do koni,
bywało z sierpem, z kosą nikt go nie dogoni,
gdy na wyprzódki pójdzie po złocistym łanie.

Matuś się nim pysznili, a dziewki kraśniały,
gdy zawinął do tańca poły swej sukmany...
Bywało!... Teraz — inny! Chmurny, zadumany,
chory może, bo w twarzy, jak ta chusta biały...

Ojce go nie poznali, gdy wrócił do domu, —
słabe ramię o uszak wsparł, opuścił głowę
i stał, jako ten żebrak, pełen lęku, sromu.

I serce przyniósł inne i inakszą mowę...
Gdzie był, jak żył w tem wojsku, nie mówi nikomu,
ni matusi, gdy gładzi włosy jego płowe...

ZOFJA P.

Wykłady i słuchacze Uniwersytetu ludowego

im. Adama Mickiewicza.

(Referat inż. E. Libańskiego ze zjazdu Uniwersytetu ludowego w Krakowie.)

Jeśli z jednej strony cyfry kilku tysięcy wykładów, setek tysięcy słuchaczy, kilkuset prelegentów dają obraz faktycznej działalności instytucji, obznajamiając szeroki ogół z siłami i skutkiem działalności nowego doniosłego ruchu oświaty pozaszkolnej, to dla uzupełnienia tego obrazu koniecznem jest również poznanie wpływu tych wykładów, słuchaczy i niejako psychologji prelekcji popularnej.

Na podstawie obserwacyj oraz własnych doświadczeń postaram się wyjaśnić tę stronę oświaty pozaszkolnej.

Zazwyczaj znajdujemy określenie ogólne, iż wykład ten lub ów był mniej lub więcej popularny, treściwy, barwny i t. p., pod słowem jednak popularny rozumiemy, iż forma podanej treści dostosowaną jest do poziomu umysłowego słuchaczy, nie mających w należytej mierze wiadomości i pojęć danego przedmiotu.

Jest to jednak stanowczo za mało.

Popularność wykładu wymaga jednego warunku, którego dotychczas nie zawsze uwzględniano. Oto choćby najsuchszy temat powinien być wyjaśniony w ten sposób, by oprócz pouczającego materjału faktów, zawierał i pewnego rodzaju pogląd ogólny, który utkwi w umyśle słuchaczy. Trudno przypuścić w ogóle, by słuchacz popularnego wykładu mógł zapamiętać cały ciąg faktów, jest to rzeczą niemożliwą, — dosyć będzie, jeżeli zasłuchany w wywody prelegenta utrwali w sobie ogólne zrozumienie tematu i zasadniczy pogląd na rzecz.

Mógłbym tu przytoczyć sporo przykładów złych i dobrych wykładów popularnych.

Oto n. p. wykład z fizyki.

Jeden prelegent, ułożywszy sobie wykłady wedle podręczników szkolnych, tłumaczył na podstawie doświadczeń mechanikę, ciepło, akustykę i t. d. Mówił dobrze, popularnie, a jednak słuchaczy ubywało.

Drugi wygłaszał ten sam przedmiot, wiązał jednak na każdym wykładzie wszelkie zjawiska danego działu z zasadniczym poglądem na materję i siły działające, na ich jedność i niezniszczalność, dołączał uwagi jak to lub owo doświadczenie zastosowali ludzie dla potrzeb praktycznych i słuchacze odczuwali, że istotnie te wszystkie sprawy obchodzą ich żywo.

Obchodzą ich z jednej strony jako zaciekawiające objawy badawczego ducha ludzkiego, ale obchodzą ich również dlatego, że dają odpowiedź na wiele pytań życia praktycznego, ułatwiają poznanie i rozjaśniają widnokręgi myśli.

Jeśli prelegent, oddany tej pracy z całym zapałem, umie odpowiednio przykuć uwagę słuchaczy, wpleść w wykład umiejętnie to wszystko, co pozostaje trwale w duszy słuchających i przywiązuje do prelekcji, to bez wątpienia na następnym wykładzie zgromadzi jeszcze liczniejsze zastępy i osiągnie rezultat popularyzacji.

Kto pragnie pożytecznie służyć sprawie popularyzacji nauki przy pomocy żywego słowa, powinien oprócz fachowej wiedzy mieć wykształcenie ogólne, pozwalające objąć całość wiedzy i ocenić w niej współzależność wzajemną nauk, powinien mieć dar wymowy i umiejętność pobudzania słuchaczy do krytycznego myślenia, a przedewszystkiem być człowiekiem zamiłowanym do tej pracy społecznej i ożywionym szczerą miłością dla ludu. Te cechy ułatwią pokonanie największych praktycznych trudności i przyciągną do audytorjum nie tylko pilnych słuchaczy, lecz i przyjaciół, podatnych do kierowania.

Czy więc wykłady Uniwersytetu ludowego im. Adama Mickiewicza odpowiadały tym wymogom?, — czy w istocie możemy być zadowoleni i tematami wykładów, ich popularnością i zainteresowaniem się słuchaczy?

Nie będę tu przytaczał cyfr, gdyż to w dostatecznej mierze podały już sprawozdania — przytoczę jednak w zarysie to, co było istotną cechą naszych prelegentów, wykładów i różnorodnego zespołu słuchaczy.

A więc w pierwszej linji prelegenci i wykłady.

Otóż podnieść tu można z naciskiem, że przeważna liczba prelegentów Uniwersytetu ludowego nietylko starannie przygotowywała swe wykłady, nie tylko z prawdziwem poświęceniem nieraz ponosiła wszelkie trudy prelekcji po miastach, miasteczkach jak i wsiach, ale bardzo często brała na swe barki i przygotowanie prelekcji, agitację oraz czynności administracyjne.

Trzeba uprzytomnić sobie wszystkie niepomyślne warunki takiej działalności w zapadłych apatycznych miejscowościach naszego kraju, trzeba uprzytomnić sobie wszystkie przeszkody, które niejednokrotnie mogły ochłodzić zapał prelegentów, trzeba uprzytomnić sobie ten różnorodny skład nieraz i niewdzięcznego audytorjum, by zrozumieć i uznać bez zastrzeżeń, że Uniwersytet ludowy im. Adama Mickiewicza, jak dotychczas, umiał zdobyć odpowiednie celowi grono prelegentów i prelegentek i pod tym względem zupełnie nie ustępuje na drugi plan wobec podobnych instytucji zagranicznych.

Wobec hiperkrytycznego usposobienia, panującego u nas na wszystkich polach publicznej działalności, być może, że powyższe słowa wydawać się mogą przechwałką, nie mniej jednak zapewniam, że nietylko ze sprawozdań, ale i osobiście w rozmowie z osobami biorącemi udział w podobnym ruchu w Niemczech i Danji miałem sposobność przekonania się, iż wcale nie mamy powodu do mniemania, jakobyśmy pozostali w tyle.

Co się tyczy wykładów, to przyznać należy, iż nie zawsze do audytorjum była dobrana forma lub sam temat. Nie zawsze ten lub ów prelegent zdołał obudzić takie zajęcie, które mogłoby rokować trwałe powodzenie i obudzić potrzebę dalszych prelekcyj w danej miejscowości; trzeba jednak zważyć, że to samo dzieje się w innych krajach, trzeba dalej zważyć, że czytane prelekcje były prawie wykluczone i trzeba zrozumieć, że dla pozyskania szerokich warstw słuchaczy w kraju analfabetów trzeba

usunięcia wielu innych warunków, które w krajach ościennych, nie stanowią już przeszkody dla rozwoju oświaty.

Mógłbym tu przytoczyć cały szereg faktów i obserwacyj, cały szereg przeciwności, które zniechęciłyby niejednego, a to tembardziej, że praca nasza była solą w oku prawomyślnych sfer, sądzę jednak, że są one dostatecznie znane, więc tylko kilka słów jeszcze dodam o słuchaczach.

Jakie mieliśmy audytorjum?

— Bardzo — bardzo niejednolite.

W miastach większych stan średni, inteligencja, rzemieślnicy, robotnicy, w miasteczkach mieszczanie, rękodzielnicy, po wsiach wyłącznie wieśniacy, w osadach fabrycznych wyłącznie robotnicy, a na Śląsku naprzykład tylko robotnicy i chłopi, którzy zgromadzali się w liczbie kilku setek jako słuchacze.

O ile wykład popularny był nowością w pewnej miejscowości, o tyle, jak łatwo zrozumieć można, nie brakło zwyczajnie ciekawych nowości osób, dalszy ciąg jednak prelekcji gromadził zastępy, które pragnęły i dowiedzieć się czegoś i nauczyć i znaleźć odpowiedź na różne niezaspokojone pytania.

Najwdzięczniejszem audytorjum były zawsze warstwy pracujące, nie brakło też nigdy licznych rzesz kobiet.

Bywały prelekcje, które bądź to z powodu tematu, lub też znanego prelegenta ściągały po prostu tłumy do obszernych sal ratuszowych lub towarzystw sokolich.

Mieliśmy i wykłady pod gołem niebem, na których gromadziła się prawie cała wieś. Bywały nieraz i ciekawe dyskusje, poruszane przez słuchaczy po odbytym wykładzie.

Być może, iż w niewielu wypadkach audytorjum zawiodło oczekiwanie; rzecz to przypadku, niepomyślnego zbiegu okoliczności, wziąwszy jednak w całości ogromną liczbę prelekcyj, wygłoszonych w Galicji i na Śląsku, wobec równie poważnej cyfry słuchaczy, nie podobna, zaprzeczyć, że Uniwersytet ludowy stał się potężnym czynnikiem rozwoju oświaty w kraju i na dotychczasowej drodze kroczyć może dalej, spełniając wielką misję i na przyszłość.

Droga jest prosta i jasna. Nie wolno upadać na duchu wobec przeciwności, nie wolno zniechęcać się wobec apatji, lecz wytrwale trzeba „z żywymi iść naprzód“ i nieustannie po „życie sięgać nowe“!

Edmund Libański.

MARJA JARMUND. 12)

Nasze ideały w XIX. wieku.

Nie może być korzystnem dla narodu, gdy mu się zaleca to właśnie, co stanowi najsłabszą jego stronę. Nas nie potrzeba namawiać do układów, bo wrodzony popęd do nich nie mało się przyczynił do zguby. Zamiast brać się do czynu, gdy tego zachodzi potrzeba, szybko, stanowczo i energicznie, my zaczynamy przestępować z nogi na nogę, rozważać i namyślać się, czyby to nie było lepiej wszystkiego zaniechać, albo ubić sprawę zapomocą układów. Dopiero gdy układy nie przydadzą się na nic, rozpoczynamy działanie, tylko już po niewczasie; bezpowrotnie stracone chwile nie dają się odzyskać i klęska gotowa. Nie bylibyśmy zmarnowali w 1830 roku takich zasobów, jakich może już nigdy na świecie mieć nie będziemy, gdyby nie ta fatalna nasza choroba. Układy nas zabiły, im zawdzięczamy cały swój wstyd i nędzę. Co zaś do nienawiści, to także niema powodu tłumić tego, co nie istnieje i czego w sobie wzbudzić nie umiemy. Nienawiść, to uczucie silnych, które nie pozwala znosić upokorzeń, pobudza do odwetu za doznane krzywdy, dusze słabe i niedołężne nie umieją jej odczuć i dlatego nie była ona nigdy naszym udziałem. Niema więc żadnej obawy, żeby „nienawiść zatruła duszę całego narodu“, prędzej ją zatruje obłudny sentymentalizm, faryzeuszowskie cnoty, udawana dla interesu miłość do wrogów, słowem uczucia, zmuszające do dobrowolnego upodlenia, do znoszenia cierpliwie i z pokorą zniewag i poniżające charaktery. Oto prawdziwe niebezpieczeństwo, grożące w takich zwłaszcza chwilach, jak obecna, kiedy naród potrzebowałby zebrać cały zapas słabej swojej energji i odporności, kiedy nietylko już ze strony niedźwiedzia moskiewskiego, ale ze strony całej hordy pruskiego barbarzyństwa, z wściekłym szałem złości przygotowują na nasze życie napaści.

„Najogólniejsze ideały życiowe“ starają się wzbudzić wiarę, że miłością bronić się można. Niestety, uczucie to, potrafi tylko broń wytrącić z ręki. Nikt nie idzie z miłością do boju, bo zamiast walczyć zapamiętale, oszczędzałby przeciwnika, a sam został w nagrodę za to przy pierwszem starciu powalony na ziemię i bez litości zdeptany. Idea też użyteczności i pracy organicznej postawiona, jako cel wyłączny, a nie jako środek, prowadzący do niepodległości, której zdobycie jest naszym obowiązkiem, w zwykłym stanie umysłów ogółu, staje się prawie szkodliwą. O wytworzeniu przemysłu

wszyscy u nas marzą i nawet próby robione w tym kierunku o mało nie przyprowadziły do bankructwa Kasy oszczędności, ale czy ten ideał dla narodu, nie posiadającego rządu, któryby te usiłowania protegował, nie jest mrzonką, to pytanie. Karjerowiczów i poszukiwaczów fortuny na rozmaitych polach nie brakuje u nas. Nacisk zaś, położony wyłącznie na zdobywanie zasobów materjalnych, każe wierzyć, że nam tylko dobrobytu do szczęścia niedostaje, tak jakby największe bogactwa nawet mogły się przydać na co temu, kto życia nie umie utrzymać.

Mniejsza albo większa zamożność nie wiele powinna nas obchodzić, jeżeli mamy zginąć w morzu niemieczczyzny, albo być połknięci przez Moskali, co niechybnie nastąpi, jeżeli nie potrafimy się przejąć tą myślą, że walka, od kilku już pokoleń przechodząca z ojca na syna, nie przestała obowiązywać. Na to jednak, żeby w niej zwyciężyć, nie można się bawić w czułostkowość, bo przeciw nam najgwałtowniejszej używają broni, nie przebierając w niej wcale. Trzeba więc wyrobić w sobie wstręt do obcych, nienawiść do ciemięzcy, społeczeństwo natchnąć przekonaniem, że mu na krok ustąpić nie wolno, że napastujący nie ma prawa do niczego i wszystko, co robi, jest zbrodnią, gwałtem i bezprawiem, kiedy przeciwnie broniący się ma prawo do użycia wszystkich, jakie mu podpadną pod rękę środków, ażeby nie dać się zabić i wydrzeć rozbójnikowi to, co zrabował. Jeżeli naród nasz nie dorósł do takiej walki i nie czuje się do niej zdolny, to niema dla niego ratunku. W takim razie trzeba zsiadać z koni, jak mówił do swoich żołnierzy jenerał Chłapowski, i poddać się od razu „bo przed nami Prusacy i Moskale i za nami Prusacy i Moskale“, jeżeli nie potrafimy pójść na przebój, to lepiej pogodzić się z losem i kapitulować, jak chcą trójlojaliści. Trzeba jednak dobrze uprzytomnić sobie co taka kapitulacja znaczy. To nietylko rezygnacja z przyszłości i wyrzeczenie się wszelkiej nadziei bytu, lecz śmierć zupełna, a im szybsza będzie i gwałtowniejsza, tem mniej bolesna, bo oszczędzi długiego konania. To wyrzeczenie się swoich obyczajów, swojej mowy, swoich nazwisk, swojej wiary, swoich pamiątek, zatarcie na ziemi własnej śladów swego istnienia, pokochanie wrogów jak braci, zapomnienie i przebaczenie krzywd, zlanie się z nimi w jedną nierozdzielną całość, gdyż trzeba pamiętać, że dopóki jeden Polak będzie żyć na ziemi i do swojej narodowości się przyznawać, to nie ujdzie prześladowania katów. Na to, żeby ich przebłagać, nie dosyć być pokornym i potulnym, trzeba wcale nie istnieć.

Dla narodu jednak tak licznego, jak nasz, nie łatwo się na śmierć dobrowolną zdecydować, bo choć znajdzie się wielu gorliwych jej propagatorów, większość się na nią nie zgodzi i nie da się do śmiertelnego snu ukołysać. Zresztą na nasze szczęście prześladowcy nie pozwalają zapadać w sen zbyt głęboki, lecz od czasu do czasu wstrząsają za ramiona z głośnym okrzykiem: Wstawajcie, śpiochy — śmierć wam grozi.

„Ludzkość — mówi Renan — jak Bóg biblijny, wypełnia swoją wolę, przez wysiłki swych nieprzyjaciół“. Coś podobnego dzieje się z nami. Zapomocą wysiłków naszych nieprzyjaciół, zdobywamy powoli to, czego nie umieliśmy osiągnąć, będąc narodem wielkim i wolnym, a bez czego musieliśmy zginąć, a mianowicie: poczucie narodowej odrębności i ofiarną miłość dla ziemi rodzinnej. Bolesna i ciężka jest szkoła, jaką teraz przechodzimy, ale istotnie bat i nahajka do zdumiewających pod względem edukacyjnym prowadzą wyników.

Nie wiele jeszcze lat temu dobrzy patrjoci z głębokim bolem, niemal z rozpaczą mówili o zaniku uczuć polskich w Poznańskiem. Język niemiecki po kawiarniach i cukierniach, gdzie się rozsiadali młodzi nasi pankowie w szwabskich towarzystwach, rozbrzmiewał głośno i bezwstydnie. Gospodarstwa polskie, cukrownie, browary, gorzelnie, posługiwały się urzędnikami i oficjalistami, sprowadzanymi z pośród wrogów, jakby naszych Polaków, potrzebujących chleba, brakowało, bony i nauczycielki oswajając dzieci od urodzenia z wstrętnym nam szwargotem, wynaradawiały je coraz bardziej i budziły pogardę do rzeczy ojczystych, dodajmy do tego włóczenie się po badach niemieckich i wysypywanie tam krwawego grosza tysiącami, co dopełniało miary nieszczęść i grożącego na przyszłość niebezpieczeństwa. Ale naszym wrogom ten proces wynaradawiania wydał się zbyt powolnym i rozpoczęli hece hakatystyczne. Coraz częściej gazety przynosiły wiadomości o prześladowaniach, z jakiem spotykali się Polacy już nie ze strony rządu pruskiego, lecz w każdem zetknięciu z wrogim nam żywiołem. Że zaś zetknięcia te po większej części z własnej pochodziły winy, wiec ogół polski nie bardzo się martwił początkowo z nauki patrjotyzmu, udzielanej przez nieprzyjaciół zobojętniałym ugodowcom. Ale w końcu przebrała się miara, kiedy Prusacy wraz ze swym rządem z bezrozumną zaciekłością zaczęli się rzucać na wszystkich po kolei, zacząwszy od ludu, skończywszy na arystokracji i w naszem społeczeństwie apatycznem i słabem obudziło się uczucie gniewu. Pierwsza, jak to zwykle bywa, otrząsnęła

się młodzież z sympatji dla obcego żywiołu i pokazała podczas wytoczonych jej procesów w Toruniu, Gnieznie i Poznaniu, że w sercach jej ocknął się znów dawny gorący patrjotyzm. Reszty dokonała głośna sprawa wrzesińska, wstrząsając jak iskrą elektryczną całem polskiem społeczeństwem, rozsianem na wszystkich ziemiach dawnej Rzeczypospolitej od morza do morza. Prusacy przyszli w pomoc i rozbudzili usypiającą w wielu miejscach świadomość narodową. Moglibyśmy pracować sto lat, z największem wysileniem, stosy papieru zapisać, najwymowniejszych używać argumentów, ażeby udowodnić potrzebę zorganizowanej silnej obrony, a wszystkie te wysilenia wspólne nie zdołałyby wywołać takiego wrażenia i doczekać się takiego skutku, jaki ten jeden dramat sprawił. Biedne nasze dziecięta, wprawdzie ciężkie przecierpiały chwile, ale naród w tkliwej zachowa je pamięci i nie zapomni o wdzięczności, na jaką zasłużyły, bo ofiara ich była niezwykle owocną i nie jeden długie życie zakończy, nie mogąc i w setnej części tak się zasłużyć krajowi. Nie ofiara zaś i cierpienie za ojczyznę, są najboleśniejsze do zniesienia, lecz obojętność i niewdzięczność za nie rodaków. (C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Jaurès, Paweł Dechanel. H. M. Hyndmann, W. H. Mollock, W. Liebknecht, Adolf Wagner. Za i przeciw.* Wyd. Pol. Tow. Nak. st. 285. Lwów. 1904. Pod powyższym tytułem mieszczą się referaty dyskusyjne w kwestji socjalizmu, napisane przez jego zwolenników i przeciwników. Sposób wykładu jest nadzwyczaj jasny. Polemika dotyczy najważniejszych zagadnień socjalizmu współczesnego. Referenci socjaliści zwrócili przedewszystkiem uwagę na scharakteryzowanie nie tyle samej teorji socjalizmu, ile raczej ruchu socjalistycznego ze stanowiska politycznego i kulturalnego.

Jak wiadomo, Jaurès, Hyndmann i Liebknecht, stali na czele ruchu socjalistycznego we Francji, Anglji i Niemczech. Mówię: stali, gdyż Liebknecht już nie żyje; a Jaurès w chwili obecnej zmienił znacznie, idąc na prawo, swoje poglądy i stoi na czele oportunistycznej frakcji socjalistycznej we Francji, przeciwko której występują bardzo ostro konsekwentni socjaliści francuscy. Referaty Jaurès'a i Hyndmann'a charakteryzują nietylko ruch socjalistyczny w ogóle, ale uwydatniają także jego miejscowy koloryt we Francji i Anglji; natomiast Liebknecht stoi na stanowisku bardziej ogólnem. Referaty powyższe zapoznają czytelników tylko z ogólnemi cechami ruchu socjalistycznego, pozostawiając na stronie jego poszczególne odcienie.

Z pośród referatów, zwalczających socjalizm, wyróżnia się tylko wagnerowski. Znakomity ekonomista niemiecki zna dokładnie literaturę socjalistyczną, i nie robi dwuznacznych, na nieznajomości rzeczy opartych, zarzutów kolektywizmowi. Ostrze swej krytyki skierowuje przeciwko metodzie argumentacji socjalistów, zarzucając im nieuwzględnienie czynników psychologicznych przy rozpatrywaniu form przyszłego społeczeństwa. Wagner obawia się, że w przyszłym ustroju, brak będzie tych silnych bodźców do pracy, które dziś istnieją; zarzuca też socjalistom, że nie zdają sobie sprawy z trudności usunięcia służby domowej, że chwiejne zajmują stanowisko w obec kwestji istnienia pieniędzy i państwa w ustroju socjalistycznym. Od chwili, gdy toczyła się powyższa dyskusja, literatura socjalistyczna rozwinęła się znacznie, tak, że na wiele zarzutów Wagnera znaleźć w niej można odpowiedź. Kautsky w swej „Rewolucji socjalnej", o której pisałem w roku zeszłym w „Tygodniu", dał cały program reform społeczno-polityczno-kulturalnych, możliwych zaraz do przeprowadzenia po dojściu socjalistów do władzy; socjalista francuski Tarbonrriech w dziele „La cité future", dał dość szczegółowy obraz możliwych urządzeń socjalistycznych. Dla braku miejsca nie mogę rozbierać tych spornych punktów, ciekawego czytelnika odsyłam do cytowanych wyżej prac; tembardziej, że w jednym z następnych nr. „Tygodnia" dam sprawozdanie z nowej pracy prof. Mengera p. t. „Nowa nauka o państwie", w której wszystkie prawie sporne punkty, dotyczące przyszłego ustroju społecznego poruszone zostały. Wydawcy w swej przedmowie zaznaczyli słusznie, że obawy prof. Wagnera, iż związkowy dobrobyt mas skutkiem reform socjalistycznych, doprowadzi do przeludnienia — są niesłuszne, gdyż statystyka porównawcza państw Europy zachodniej wykazuje, że z rozwojem cywilizacji, ujawnia się tendencja do zmniejszania się przyrostu ludności i to u warstw nawet zamożnych.

„Za i przeciw" jest popularną i ciekawą książką, mogącą dać dokładne, choć ogólne tylko pojęcie o charakterze i celach współczesnego ruchu socjalistycznego w Europie zach.

L. K.

NOTATKI. *Materjał folklorystyczny*, dotyczący zjawisk w naturze oraz życia przyrody w najszerszem tego wyrazu znaczeniu, ukaże się zebrany w jedną całość w zbiorowem dziele, przygotowywanem przez dr. Oskara Dähnhardta przy współpracownictwie najwybitniejszych folklorystów całego świata. Dzieło to uwzględni literaturę ludową wszystkich narodów bardzo obszernie i wyczerpująco i ukaże się z początkiem roku przyszłego w Lipsku. Dział polski dla tego wydawnictwa został opracowany przez dr. Stanisława Zdziarskiego.

Z drukarni W A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.